№ 36.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1840. Poznań, dnia 9. Września.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi raz na tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 4, na ćwierć roku talarów 2, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Miejsce rodzinne.

Ach! więc wszystko minęło!...
DZIADY IV.

Dzień się miał ku schyłkowi, kiedy wązką drożyną pomiędzy łąkami toczyła się bryczka, na któréj siedział młody, czarniawy mężczyzna, a powoził żydek niemiłosiernie smagający biczem trzy chude szkapy.

»Pojeżdżaj! pojeżdżaj!« krzyczał pierwszy na brodatego woźnicę z wyrazem gorączkowéj niespokojności, czy zbytniego uniesienia ku spodziewanemu szczęściu, jakby za chwilę miał się znaleźć w objęciu matki, rodziny, kochanki — jakby.... ale na co nam tych domniemywań! Cel jego podróży jeszcze daleko — zboczył z wielkiego gościńca, aby oglądać wioskę, gdzie się urodził i dzieckiem wychował — temu, kto postradał najdroższe w tych stronach osoby, widok podobnéj pamiątki jest skarbcem nieocenionych uczuć; dla tego niedziwmy się, gdy go zobaczym w żywéj rozmowie z samym sobą, z drugiém ja, które opowiada mu bajkę o dobrych wróżkach i zaczarowanych pałacach.

»Oto brzezinka, gdziem biegał na ptaszki — oto sadzawka, gdzie się rybki chwytało na wędkę — blisko téj figury spadłem z kucyka — w téj chróścinie ukrywałem się, gdym uciekł nauczycielowi od elementarza... Co tu pamiątek! wszystko jakby wczoraj — drzewa tylko podrosły, spoważniały... I jam spoważniał; ale tu znowu czuję, wierzę, marzę jak dziecko, jak wtedy, gdy matka tuliła do piersi ocierając mi łzy pocałowaniem. — Kilkanaście lat światowego życia śród walk namiętnych, śród żądz niezaspokojonych, zniszczonych ułudzeń, tutaj snem mi się wyda.... ach gdyby ten ustęp można w sen, w widzenie zamienić, a tu zacząć żyć jak za młodu, z ranną modlitwą na ustach, z miłością dla wszystkiego co cię otacza, z nadziejami ptaszyny i kwiatu... Och! gdyby zacząć, gdyby już niewracać!...«

Słowom tym przerywanym towarzyszył raz uśmiech, raz łza gorąca — ręce wyciągał, to cisnął do piersi — wzdychał, to usta zaciskał — a wszystkie te pantomina nabawiały ogromnego strachu żydowskiego woźnicę, który się raz wraz trwożliwie oglądał, pewny, że szalonego powozi. Szczęściem za górką pokazał się dach i komin karczemki, więc nabrawszy ducha, obrócił się, uchylił kapelusza i zagadł:

»Czy wielmożny pan każe zajechać do karczmy, czy do dworu?«

»Do karczmy.«

»Z przeproszeniem wielm. pana, jabym radził do dworu, tam i owsa dostanie, i siana, i pan....«

»Do karczmy mówię, i basta!« krzyknął niecierpliwie podróżny. — »Głupiec! chciałby mi zepsuć cały urok — do dworu?! abym popadł w ręce nudnego ekonoma, coby mi plótł o pięknych oziminach, lub dręczył o nowiny z miasta — wtenczas, kiedy ja niechcę mieć innych świadków prócz gwiazd i księżyca!...«

Za kilka minut zatrzymała się bryczka w błocie przed lichą karczemką, z któréj przez wybite okno wyglądał chłop pijany. Młodzieniec zeskoczył skwapliwie, zarzucił lekki płaszczyk na ramię, i rzekł: »jutro do świtu bądź gotów; pojedziem.«

W niewielkiéj odległości dwór bielał na wyniosłém wzgórzu; lasek ponurych starych sosien i białych brzóz o spadających kitach, tworzył nad nim niby ochronę od upałów i jesiennych wiatrów, i ciągłym szumem zastępował wrzawę mieszkańców.... u spodu, moczarami, skąd dolatywał krzyk bekasa i dérkacza, biegła kręta rzeczułka, nad nią tu i owdzie osiki — a daleko, za rozmaitéj zieloności polami, ciągnęły się rąbki ciemnawych lasów i łysiały piaszczyste, nagie góry. Kładnące się słońce majowe obrzuciło żywą pozłotą okna dworskich budynków, i całemu obrazowi nadawało dwie tylko barwy: światłą i ciemną. Droga pod górę, lubo stroma i krzemienista, lekką się być zdała tych miejsc kochankowi; bo nie szedł, lecz skakał, i tylko niekiedy stawał na pochyłości, aby obejrzeć się, zaczerpnąć okiem po téj milowéj równinie, gdzie jak fale przepływały tysiączne blaski i nieprzeliczone odgłosy, nad któremi prym trzymał dzwonek bijący na Anioł pański w miasteczku, co po jednéj stronie zaległo płaszczyznę.

Zostawmy go, niech sobie skacze i duma, cieszy i rozrzewnia; a sami jak żandarm z za krzaka wypadnijmy z urzędowém zapytaniem: »ktoś jest, i co tu robisz?« tém bardziéj, że mój nieznajomy niejest tak dalece tajemniczą figurą, aby jéj odkrycie na wety odkładać. Kto on jest? Zdzisław — o miano familijne mniejsza. Skąd przybywa? To zagadnienie więcéj nas nauczy, niż gołe nazwisko. — Zdzisław przybywa z cudzych krajów, czyli jak Żmudzin powiada: z za morza — gdzie się długo błąkał, włócząc ze sobą trzy niezbędne towarzyszki podróży bez celu: tęsknotę, przesyt i nudę.

»Wcale niezajmujący bohatér« — rzeknie z boku jaki gospodarz z poprawnéj rasy — »mógł był się uczyć najnowszego sposobu sadzenia kartofli.«

„Przypatrzyć się kolejom żelaznym, machinom« — doda drugi, niemający na gospodarstwie nawet młynka do zboża.

„Chodzić około wina« — wtrąci trzeci z czerwonym nosem.

»Romanse pisać po francuzku« — powie Dama literatka.

W rzeczy saméj Zdzisław, niemyślący ani o romansach, ani o winie, ani o kolejach, a jeszcze mniéj o kartoflach — nie jednym sądem mógłby być odsądzony od czci i wiary — ale ja szalenie kocham młodzieńca, co wyżéj nosi głowę nad kartoflaną łodygę, byle ją owiewała atmosfera duchowa, a wola i wiara przyczepiały dwoje skrzydełek dla ustawnego lotu. — Nieszczęściem, Zdzisław, który nosił głowę o tyle wyżéj, o ile ją podnosiła szersza lub węższa paryzka krawatka, lub chęć ujrzenia jakiéj twarzyczki w oknie trzeciego piętra, którego unosiły skrzydła kabryoletu po lasku bulońskim, nie gonił do żadnego celu — był on raczéj jak ów wyrobnik, co nic nie składa, ale żyje — dzień zaczynający się dla niego około południa, a kończący po północy, wprawiał go tylko w kłopot, jak podzielić te kilkanaście godzin: czy między wizyty i przechadzkę po bulwarach, czy między restauracye lub włoską operę? Nie wnośmy jednakże, aby dusza jego nie szukała innych wrażeń — jednostajność i w raju znudzi — z tego powodu Zdzisław, co roku z wiosną wypadał to nad romantyczne brzegi Renu, to na lodowce alpejskie, to między mgły szkockie, to szukał przygód na statku parowym, co wybieglszy z Marsylii pokazywał mu w panoramie roskoszny brzeg włoski, Archipelag, Ateny, i miejsce, gdzie Troja stała; to nakoniec w zimnych i gorących wodach, od Barège do Grefenberga, krzepił zdrowie ku nowemu użyciu. — Lata mijały po latach — a on ustawicznie wyglądając jakiegoś meteoru na horyzoncie wypadków — a trzeba wiedzieć, iż był fatalistą jak Turek — zaczął powątpiewać, czy kiedykolwiek taki nastąpi. Z utratą nadziei, z rozczarowaniem, podobni jesteśmy do tego, co, gdy mu lampa zgaśnie, szuka w przypomnieniach miejsca, gdzie zostawił paczkę zapałek kongrewskich. Zdzisław, mniéj więcéj zawsze tęskniący za swoimi, dotąd umiał jakoś znachodzić różnego rodzaju lekarstwa, to w zamęcie nowości, to w prędkiém przywiązywaniu się do osób spotykanych na balach, lub przy zielonym stoliku, to we własnych kaprysach, którym łatwo ulegał, widząc się panem pięknéj fortunki, gotowéj na jego rozkazy. Z czasem jednakże i lekarstwa straciły swą dzielność — bale, restauracye, kąpiele, ładne oczy, śpiew Rubiniego i Grisi, żółte nawet rękawiczki zaczęły go nudzić. Zapewne, jak zawsze tak i teraz posłuchał kaprysu, i wziął się summować wszystkie swoje czynności godzinami, dniami, latami; ważyć moc i twałość zbieranych wrażeń; pytać, co zdobył dla serca, dla rozumu? Aż się przestraszył, gdy zliczył: kilka szumnobrzmiących frazesów, kilka prawd skeptycznych niby zebranych na drodze doświadczenia — zresztą czczość i zimno.... Te rozumowania przyszły mu, gdy pewnego razu sam jeden, śród brzydkiéj nocy marcowéj, siedział o zgaszonéj lampie.... »Zimno! zimno już i tu dochodzi!« mówił chwytając się za serce. — W téj walce pytał swego wewnętrznego głosu: »co robić?« I ten głos zaczął mu długie kazanie o cichym, pracowitym żywocie poświęceń, o stopieniu swojéj jednostki w całość kierowaną jedną

wielką myślą, o posłannictwie z słowami miłości i wiary.... »Och! to zbyt wysokie cele« — mówił w duchu — »gdzież moje siły po temu, gdzie wiedza?... Wreszcie... iluzto rozczarowanych uciekło od tego ogniska namiętnych zapałów, że dziś jak wygorzałe wulkany poosiadali samotni?... Nie! nie tego mi trzeba....« I myśl jego znowu zaczęła błądzić po strunach uczuć, dotykając każdéj, aż się najgłośniéj odezwie. W osamotnieniu cóż się odezwać mogło, jeśli nie pamięć przeszłości...? — Stary ten szpargał głęboko schowany pod lewą połą najmodniéj skrojonego fraka, dopiero teraz wypadł i rozwinął się przed nim, a wszystkie głoski lśniły złotem i barwami, jakby wczoraj pisane. On, co się dotąd miał za zużytego, przesyconego, niby który z owych dévastés w romansach Balzaka, postrzegł, że są jeszcze w nim tajniki, których ani zbytek użycia zepsował, ani wrażenia zbierane po świecie przygłuszyły. Szczęśliwym trafem, życie, jakie dotąd prowadził, nigdzie nie zagrzęzło w kałuży zepsucia: żądza spekulacyi nie wabiła go; nienawidził bowiem pieniędzy, mając ich więcéj, niż ku wygodnéj potrzebie; w brudnych roskoszach nie znajdował upodobania, przenosząc salonową zalotność; zaś namiętność gry nie posuwał nad objętość swego woreczka. Zgoła, prowadził się jak każdy dobrze wychowany panicz: nie będąc ani całkiém złym, ani zupełnie dobrym. O nie! Zdzisław był więcéj; Zdzisław był dobrym w gruncie, kiedy przypomnienie, owe babie lato wszystkich uciech, niewinnych igraszek i wrażeń młodocianych, przekonało go o nicości lat na wielkim świecie przeżytych. Prostać to i niezepsuta dusza, kiedy z tych zasuszonych kwiatków chce wysnuć tkankę do piękniejszych przeznaczeń!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kilka ustępów
z najnowszéj powieści J. Kraszewskiego:
CAŁE ŻYCIE BIEDNA.

(Ciąg dalszy.)

Skreśliwszy nasz autor w pierwszym rozdziale charakterystykę domu jaśnie-wielmożnéj Doroty z Dylągowskich Szumińskiéj, panny Anny, i pierwszą wizytę pana Mateusza Wideckiego, obszerniéj się rozwodzi o pannie Annie w następnym rozdziale. Anna na pozór zdawała się nic nieznaczącą istotą, ale taką rolę odgrywać była tylko przymuszoną przy swojéj cioci, która ani uśmiechu, ani wesołości, ani klawikordu, ani czytania książek światowych nielubiła A przecie wola cioci wolą musiała być Anny. Do téj Anny, a raczéj do jéj majątku po ciotce spodziewanego, czuł pan Mateusz pociąg niewymowny, dla tego układa z panem sędzią Buczkowskim plan, jakim sposobem przypodobać się ciotce, a następnie otrzymać rękę Anny. Do tego użyć postanowili p. Bałabanowicza, komisarza pani, starego jéj faworyta i sługi zaufanego. Tego podarunkami, gościnném i hojném przyjęciem w domu swoim tak p. Mateusz sobie zobowiązał, a szczególniéj przyszłemi widokami, iż niebawem ciocia przyrzekła dać Mateuszowi Annę za żonę. Lecz któż to taki ten pan Mateusz, poznajmy go bliżéj:

»Pan Mateusz był jedynakiem u rodziców, a zatém popsutém dzieckiem. Los jego chciał, żeby rozpieszczony przez ojca i matkę, wcześnie ich stracił, i z zarodami egoizmu, z wielką żądzą użycia świata, został sam jeden. — Wprawdzie miał on jakiegoś opiekuna, ale temu daleko więcéj o dziesiąty grosz chodziło, niż o dziecię jemu powierzone. Wcześnie skarbiąc sobie łaski chłopca, opiekun wszystkiego mu dozwalał, wszystko chwalił, i udawał ku niemu najwyższe przywiązanie, żeby pod tą pokrywką, za dojściem do lat, łatwiéj rachunki z opieki zdać mógł. Pan Mateusz chodząc do szkół, potém do uniwersytetu, rozpuścił sobie cugle, i co tylko złego w towarzystwie zepsutéj młodzieży da się pochwycić, nabrał wszystkiego. Usposobiony uprzedniém wychowaniem, wziął swoję roskosz za cel życia, bez zasad religijnych, obcując z małowiernymi do reszty stał się niedowiarkiem, wylawszy się na dogadzanie namiętnościom, osądził prędko cały świat za takiego, jakim był sam, i wyuczył się szydzić jak z udania, ze wszystkiéj bezinteresowności, poświęceń, uczuć szlachetnych, które spotykał po drodze życia. Lecz mylę się, zowiąc go niedowiarkiem. Pan Mateusz jak bydlę nieczuł nawet potrzeby wiary, żył niemyśląc czy ma duszę, szydził najbezsensowniéj z tych, którzy mieli wiarę, bo niemógł pojąć nawet, jak oni szczerze wierzyć mogli. — Był więc nasz bohatér zupełném bydlęciem, i życie prowadził jak zwierzę. Wszelkiego rodzaju nasycenie było pierwszym celem jego; o sławę niedbał, niedbał o cnotę, śmiał się, kiedy mu mówiono o czyjéj poczciwości, niewierzył w przyjaźń, niewierzył w miłość, wszystko gotów był dla widoków udawać. Zaczął od swego opiekuna, którego procesował doszedłszy lat i zgubił na majątku. Trafiła kosa na kamień. Potém wypuściwszy wieś swoję dziedziczną, mieszkał w mieście, ulubionéj siedzibie ludzi zepsutych.

Tu w całém znaczeniu wyrazu hulał, a po kilku leciech spędzonych w towarzystwie najzepsutszém, nabywszy jeszcze hipokryzyi w dodatku do pięknych przymiotów swoich, ugruntowawszy się w professyi egoisty, obaczywszy łysinę i kraglejący brzuch, pomyślał wrócić na wieś, żeby się dobrze ożenić. Stary, zepsuty jak on, pan sędzia, stał się pomocnikiem najgorliwszym, i zawiózł go, jakeśmy widzieli, do domu pani Doroty. — Taki to był konkurent Anny; łatwo każdy pojmie, jaką on dla niéj przyszłość obiecywał; lecz niełapmy ryb przed niewodem.«

Takim poznawszy pana Mateusza, przejdźmy do obrazu, jaki nam przedstawia pan Kraszewski w dniu uroczystym oświadczeń pana Mateusza Wideckiego:

»W niedzielę, paradnie poubierani, pan sędzia i Mateusz zajechali do kościoła, wkrótce po nich zatoczyła się też stara kareta podkomorzynéj, w któréj siedziała ona, Anna i służąca Aniela. Po summie i kazaniu przy wyjściu z kościoła, submitowali się nasi dwaj panowie podkomorzynie, która ich raczyła na obiad zaprosić. — Oddawna już sąsiedzi czegoś się domyślali, lecz ten ostatni wypadek, strojny ekwipaż sędziego i Mateusza powóz sześciokonny, czułe z podkomorzyną u drzwi kościelnych powitania, spuszczone oczy Anny, a wreszcie chodzące już głuche wieści, urodzone z bąków, które po pijanemu na jarmarkach strzelał Bałabanowicz, potwierdziły domysły. Wszyscy zajęli się tém mocno, jedni ciesząc się z wesela, drudzy ubolewając nad losem panny, trzeci przecząc złośliwie. Ci ostatni należeli do kategoryi odprawionych z kwitkiem przez podkomorzynę. — U proboszcza, dokąd parafianie zbierali się zawsze na przekąskę i plotki, o tém tylko była mowa. Każdy swoje wiadomości drugim komunikował, szeptano, śmiano się, ruszano ramionami, i dzięki nowemu przedmiotowi, zabawiono dłużéj nad zwyczaj w plebanii. — Tymczasem kareta podkomorzynéj i powozy sędziego i Mateusza, wtoczyły się w dziedziniec Złoto-Wolski. Było już popołudniu, zatém obiad gotów i immediate, usiedli do stołu. Rozmowy były nudne, sztywne jak mieszkańce Złotéj-Woli, i bez duszy. Dopiero gdy podkomorzyna przebudziła się i weszła do sali, z całą paradą nastąpiło wobec panny Anny oświadczenie. Podkomorzyna ze wszelką przyzwoitością i powagą, ani spojrzawszy na Annę, oświadczyła panu Mateuszowi, że go przyjmuje. Zostawało mu tylko podziękować, upadł więc do nóg jak należało pani podkomorzynie primo loco, następnie pannie Annie. Anna była milcząca, blada i łzami zalana, przez cały czas słowa niewyrzekła, ale gdyby był na nią spojrzał konkurent i umiał czuć, albo uczucia cenić, byłby się przestraszył. Łatwo poznać było w niéj ofiarę, która w milczeniu przyjmuje nieszczęście, chociaż je widzi strasznem. — Naznaczono zaręczyny za tydzień, i polecono panu Mateuszowi sprosić swoich znajomych, byleby nie więcéj nad osób dwadzieścia; podkomorzyna ze swojéj strony miała także niektórych sąsiadów listownie wezwać. Anna wybiegła z pokoju, gdy p. Mateusz odjeżdżał, załamała ręce i padła na łóżko. Ciotka zaczęła ciągnąć kabałę.

»Jak uważam«, rzekł sędzia wsiadając do powozu — »panna coś niebardzo temu rada, miała minę przebitéj!« — »At zachciałeś«, odpowiedział Mateusz — »jeśli się boi mnie, to tém lepiéj. O miłość jéj niestoję, będę ją miał i bez niéj.« Te wyrazy wymówił tak przykrym głosem, że sam sędzia wzdrygnął się słysząc je. — »Jednakże, pozwól sobie powiedzieć«, rzekł z cicha — »iż jesteś obowiązany uszczęśliwić ją i starać się, żeby jéj z tobą dobrze było. Tak przynajmniéj powszechnie mówią.« — »Ja ją biorę dla siebie, nie dla niéj«, odpowiedział z brutalskim akcentem Mateusz. »Co mi do tego, czy będzie szczęśliwą?« — »Bierzesz ją więc jak cielę na kuchnią?« — »Nieinaczéj!« zawołał śmiejąc się Mateusz. — »A jeśli ona z tąż myślą idzie za ciebie?« — »Spróbujem, kto z nas silniejszy.« — »Ty widzę gotujesz się do walki.« — »Całe życie jest walką, a ten mądry, kto zwycięży, i nikt go nawet niespyta, jakim sposobem.« — Gdy tych słów domawiał, sędzia umilkł i mocno się zamyślił. — »Jestto głęboko zepsuty człowiek«, rzekł w sobie — »biada téj kobiecie! Ha! ha! cóż robić?« — W istocie sędzia, acz bez żadnych zasad, niebył jeszcze do tego stopnia zepsutym i egoistą, żeby miał poklaskiwać panu Mateuszowi. Zląkł się go nawet trochę i począł żałować, że się z nim wdał. Pan Mateusz widząc się już u celu, i niepotrzebując sędziego, mało zważał na jego milczenie w drodze, i tak zajechali do Brzozówki.

W Złotéj-Woli tymczasem czyniono przygotowania do uroczystego obchodu zaręczyn; we dwa dni całe sąsiedztwo częstowało się nowiną: »Wiesz, że pan Mateusz się żeni?« — »Któżby niewiedział!« — »Czy jesteś proszony?« — »A jakże.« — »Ten łotr! to osobliwsze małżeństwo!« — »Mówią, że sędzia najwięcéj mu pomógł.« — »Bałabanowicza także ujęli.« — »O! to filuty pierwszéj próby!« — Inni użalali się nad Anną, mianowicie zaś kobiety które łatwo przewidywały los, jaki ją czekał. Dobre to przysłowie: »wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi!«

— znali wszyscy pana Mateusza, jako człowieka bez żadnych zasad, egoistę przestraszającego i żadna najuboższa niebyłaby się odważyła pójść za niego, tak był w opinii publicznéj okrzyczanym za domowego tyrana. — Familie obrażone odmówieniem ze strony podkomorzyny, niechciały się znajdować na zaręczynach i najsrożéj szarpały urąganiem nowo składające się stadło. — Ciotka zaś, tak obojętna dla Anny jak wprzody, choć wiedziała, że jéj to za mąż pójście było przykrém, nieuważała na to wcale, w przekonaniu, że po staropolsku dzieci niemają swojéj woli, tylko rodziców lub opiekunów, którzy za nich obowiązani są myśleć, czuć i przewidywać. Przesadzone wyobrażenia o posłuszeństwie, które od młodu wpojone miała, niemogły się pogodzić z oporem Anny, acz tak bojaźliwie jéj okazanym. Miała to podkomorzyna za rodzaj chwilowego obłąkania. Anna, jak człowiek, który doszedł kresu niebezpieczeństwa i nieszczęścia, po łzach wkrótce, odrętwiała na wszystko, i obojętnie już, przeraźliwém okiem rozpaczy, patrzyła na przygotowania zaręczyn i wesela. Gdyż wesele odbyć się miało w kilka tygodni, a niezbyt wspaniała wyprawa panny młodéj łatwo się natenczas ukończyć mogła.

Przyszedł dzień zaręczyn; była to uroczystość po staropolsku wystawna, pełna ceremoniału, ukłonów, komplementów, wykrzykników, cyfer, wiwatów, pijatyki i t. d., ale w gruncie smutna. Anna wedle zwyczaju strojna bardzo, była blada, milcząca, i oczy tylko napuchłe, czerwone, zwiastowały o walce, jaką z sobą odbywała. Ta postać smutna przykrym sposobem odbijała od ceremonialnéj wesołości wszystkich i szalonego humoru pana Mateusza. Ciotka jak zawsze prosta, sztywna, pilnująca przyzwoitości, wyglądała na swojéj kanapie jak stare malowidło z ram wyjęte i na chwilę podżywione, ruszające się choć nieżywe. — Bałabanowicz w kącie pił za sukcessy młodych państwa, a z podełba poglądał na podkomorzynę. Sędzia chodził smutny i milczący. Reszta sąsiadów zbiegła się z tą jastrzębią ciekawością, z tą chciwością plotek, obaczenia czegoś nieprzyzwoitego, dowiedzenia się tajemnicy, złapania jakiejś śmieszności, która tak panuje na wsi. Wszyscy oni zdawali się chodzić tylko i szukać po kątach, żeby mieli jutro o czém gadać i śmiać się. Mrugali na siebie, szturchali się, czynili sobie uwagi i już w myśli oblizywali się na mające wyrosnąć plotki. Ani teraz nawet pan Mateusz niezbliżył się do Anny, ledwie ją przywitał, ledwie ją w rękę pocałował przy zamianie pierścieni, potém wmieszał się do młodzieży i ufając temu, że go podkomorzyna niedojrzy, puścił sobie cugle, tak długo zmuszony w tym domu grać, jak mówił, rolę sensata. — Z powodu téj wielkiéj uroczystości, porządek życia w Złotéj-Woli, tak surowie utrzymywany, na dni kilka się przewrócił; co niezmiernie podkomorzynę martwiło, która wzdychała za powrotem do pokoju i regularności. Tłum gości, przygotowania do ceremonialnego obiadu, zwichnęły całkiém panią Dorotę. Bolało ją to najmocniéj, że wiele osób nie dość na nią wzgląd miało i zdawało się jéj poważnéj osoby niewidzieć. Każdy bowiem poszukał sobie stósownego towarzystwa i bawił się jak mógł. Przy biednéj Annie siedziały panny i młode mężatki, więcéj zajęte jéj strojem niż losem. Niektórzy z mężczyzn grali w karty, inni rozmawiali po cichu. Część męzkiéj kompanii paliła fajki na ganku. Tu był i p. Mateusz, którego ciekawe otaczały postacie. Był z tych naprzód długi, suchy, ospowaty, prosto trzymający się, jakby kij połknął, literat powiatowy, jeniusz sąsiedztwa, pan Kunasowicz. Ten mówił tylko górnemi słowy, jesta miał teatralne, fizys z wyrazem tragicznym i wiecznie błąkał się po niwie uczuć i niebie wspomnień. Dodajmy do tego, że nieznał pisowni i szkoł nawet nieskończył. Za nim siedział myśliwy z professyi, otyły rubacha, który o niczém niemyślał, tylko o brzuchu i o polowaniu. Daléj satyryk powiatowy, który miał przywiléj bezkarnie ze wszystkich żartować, niedowarzone swoje koncepta co chwila po głowach puszczać i w oczy nieprzyjemne rzeczy wszystkim mówić. Był on także jednym z gastrolatrów, to jest czcicieli żołądka, których sekta tak w naszym kraju jest pospolita. Potém byli jeszcze: powiatowy medyk, który wszystkich traktował Leroy, powiatowy stryjaszek, dobry sobie głupiec, z którego drwił kto chciał, powiatowy skąpiec, do którego kieszeni wszyscy się uciekali o pieniądze, agronom co na 24 pola podzielił swoje łany i miał już merynosy, wreszcie ksiądz wikary, który się tém odznaczał, że śpiewał przy gitarze i fajkę palił.

Ci ichmość wiedli ciekawą rozmowę, któréj ułamek pozwólcie sobie udzielić:

Ks. wikary (puszczając kłąb dymu, do powiatowego stryjaszka). Pan fajki niepali? — Stryjaszek. Na piersi mi szkodzi. — Skąpiec. I na kieszeń. — Medyk. I na żołądek, bo żołądek... — Literat. O jakiéjże nieszlachetnéj części ciała panowie wszczęliście rozmowę. — Gastrolatrzy. Co ten plecie?! — Agronom. Moje olejne rośliny bardzo dobrze prosperują. — Literat (z westchnieniem). Ten znowu o olejnych roślinach. Zaiste, niema teraz ludzi, którzyby o czémś wznioślejszém pragnęli umysły zetrzeć. Ja w prawdziwéj

żyję pustyni, niepojęty, niezrozumiany, jak palma, która niszczeje w piaskach dalekiego morza suchego dzikiéj Arabii! — Satyryk-gastrolatr. Co ty tam mruczysz? a wiesz ty, że masz minę śledzia na rożenku? — Pan Mateusz (do sąsiada). I prawda to, że się pan Aloizy o moją narzeczoną starał? — Sąsiad. Najistotniéj. — Pan Mateusz. Ale cóż za śmieszny człowiek, że teraz tu przyjechał! — Sąsiad. Zapewne był ciekawy zobaczyć wacpana. — Pan Mateusz. Smutna to ciekawość. — Literat (głośno do skąpca). Pańskie oblicze zwiastuje jakiś szwank na zdrowiu. — Skąpiec. Ja jestem całkiém zdrów. — Medyk. Dawno ci radzę wziąć Leroy. — Literat. Zaiste, niekażdemu z śmiertelnych zdolne jest to lekarstwo przywrócić drogie, a najszacowniejsze z darów niebios, zdrowie. — Ks. wikary. A niejednegośmy po niém pochowali. — Literat. Smutny to, lecz pełen zasług stan, który wam duchownym nakazuje stawić się na głos cierpienia od kolebki do mogiły. — Gastrolatrzy. A dadzą tam wieczerzę? Jeść się tęgo już chce! Przynajmniéj żeby wódki i przekąski podali. — Ks. wikary. Jak się ma WMości ogierek? — Sąsiad. Zdrów już zupełnie. — Gastrolatr. Patrzajno, co to za piękna dziewczyna? — Wszyscy prawie. Gdzie? gdzie? gdzie? — Literat. O cóż to za ludzie, których lada piękność ziemska i znikoma tak zajmuje! Wzdycha.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Domy i zatrudnienia Polaków w XV. i XVI. wieku.

Zabawa z gościem w domu i za domem.

(Ciąg dalszy.)

d) Gry.

aa) W kostki.

W kostki grywano albo równego zeza (kiedy pełną liczbę oczów wyrzucone kostki pokazały), lub w paszę (kiedy niespełna padły kostki) [1]) Różnych dopuszczano się nadużyć, ażeby równa liczba oczów padła, lub niepadła, woskując stół, na który kostki padały, żywém srebrem napuszczając je wewnątrz, wyrównywając ich wydrążenia i t. p. Tymczasem za każdém rzuceniem pisano kreskę i płacono grosz; kiedy się zebrało dziesięć groszy, kładziono krzyżyk, a kiedy doszła summa do złotego, kładziono kółko [2]).

[1]) Światowa roskosz *gra*. [2]) Tamże str. 14.

bb) W szachy i warcaby.

Rysunek szachów i warcabów najdawniejszy znalazłem w kazaniach Gabryela Leopolity [1]), gdzie powiedziano, że jest trzydzieści warcabów jak puklastych gwoździ; skąd widać, ile warcabów należało do zupełnéj gry i jakiego one były kształtu. Grano w warcaby o kasztelanią [2]).

[1]) W kazaniu *święć się imie twoje.* [2]) Trztyprztycki.

cc) W karty.

Rysunek kart podał tenże Gabryel Leopolita [1]). Tuz dzwonkowy ma u góry dwa duże dzwonki, a u dołu lwa; tuz czerwienny dwa serca u góry, u dołu konia galopującego; tuz żołędny wystawia lwa wspartego łapami do góry, na głowie ma wstęgę, na któréj nazwisko fabrykanta kart Bartosz kartownik, a nad tym napisem są dwie żołędzie; tuz winny ma latorośl winną u góry z dwoma dużemi liśćmi winnemi. Dawniejsze jeszcze, bo około r. 1500. odbitych kart wyobrażenie, odkrył p. Ujazdowski [2]).

O grze w karty wspominają nasze pomniki, zaraz po wynalezieniu jéj we Francyi, wymieniając gry najdawniejsze, wzmiankując o świetnéj karcie i t. p. [3]).

Już Krzysztof Szafraniec, za łotrostwa swoje w Krakowie ścięty roku 1482. [4]), grywał w karty z mieszczanami wrocławskimi. — Sławna była gra nosząca nazwisko flusa, w którą lubił zabawiać się Zygmunt I. Wygrywał ten, kto miał czterech króli [5]). Kiedy monarcha grając raz ze znakomitymi panami, odezwał się z tém do towarzyszy, że wygrał, jeden z nich zdziwiony zapytał się Zygmunta, jakim to być może sposobem, kiedy widzi jednego króla we swoich kartach? »Mam ja wprawdzie króli trzech, odpowiedział śmiejąc się Zygmunt, — ale ja jestem król czwarty, a więc wygrałem.« Żart ten powtarzano w towarzystwach, a Jan Kochanowski podał go pamięci następców [6]). Oprócz flusa grywano w pikietę. Bezimienny [7]) tak nam ją opisał, wymieniając następujące figury: »Wyżnik się wyrzuca, a na jego miejsce przybiera się niżnik; w téj grze dostaje się kralki, dwóch tuzów; bywają tu i dzwonki; dobiera się rumlu i czwórki; więcéj się dba o sekwent, niż o fugle; jak będzie repik przewodna, sto-oko to wygrana; kolory tu wchodzą te: czerwień, dzwonki, wino i żołądź.«

Kozernikiem zwano tego, kto dla zysku lubił gry azardowne [8]). U takich ludzi zawsze leżały karty na stole, a obok nich pieniądze, któremi brząkali do gry zachęcając [9]). W wyższych towarzystwach grywano dobierając karty, podobnie jak dziś

przy grze w Faraona, co się nazywało na brałt (na branie) przystawiać. Kto przebił kralkę, wygrywał. Nie raz z tego powodu wodzono się za łby [10]). Zaporowczyki grywali w ośmnastkę (Sem-odenastie), to jest dobierając aż do ośmnastu. Inni mieszkańcy Polski grywali w jedno-trzydzieści i w primirę (rodzaj dzisiejszego djabełka) [11]). Nieszczęśliwi gracze odmieniali miejsca, unikając takich, na których zwykle przegrywano. Kiedy i to niepomogło, niejeden płacąc powtarzał: »lepiéj grać na dudach, bo się tak nieprzegra.« Lub wyrzuty czynił jeden drugiemu, za co źle grał, mówiąc: »by był tak dał, by był owak dał, tedyby był wygrał.« [12])

Grywał i gmin w karteczki. Często w jednéjże komnacie osobno grali panowie, a słudzy w kącie osobno [13]). Wysélając pleban na wojnę swojego klechę, głównie przestrzegał go o to, ażeby się nie parał z kozerą [14]). W karczmie były bardzo karteczki w robocie. Naprzód grano o szczudtki (o szczutki?) i o orzechy, a gdy nabrano ochoty, grano i o grosze. Nie jeden, który dryngantem (wesoło) przyszedł do karczmy, powracał wa...... (smutno, bo obrany z mieszka) do do domu [15]). Francia złapawszy gracza chciwego, dawali mu raz i drugi wygrać, aż nareszcie zgrali go do szczętu. Nieborak, chcąc ukryć resztę grosza przed drapieżcami, brał pieniądze w gębę. Kosterowie (szulery) cały dzień przesiadywali w karczmie, rozebrawszy się do koszuli, ażeby im wygodniéj grać było. Grywali aż do późnéj nocy, a gdy karczmarce zabrakło świec łojowych, łuczywem na kominie przyświecali sobie [16]). Tu szczególniéj oszukiwano przy grze, karty rychtując i składając (stósownie do przebiegów tasując je), załamując (znacząc przez załamanie rogu karty), nakładając (zbierając misternie), podmykając (podglądając karty) [17]).

[1]) W kazaniu *święc się imie twoje*. [2]) W dziele Gołębiowskiego Domy i dwory jest ich rysunek. [3]) Gabryel Leopolita tamże. [4]) Paprocki, herby str. 56. [5]) Silen, kto ma czterech królów, światowa roskosz, *gra*. [6]) We fragmentach str. 10. [7]) W pikiecie niestatecznéj fortuny. [8]) Rej, Żyw. 95. [9]) Rej, Wiz. 19. [10]) Zbylitowski, schadzka. [11]) Światowa roskosz, *gra*. [12]) Górn. Dworz. str. 127. [13]) Zbylitowski, tamże. [14]) Wyprawa plebańska. [15]) Klonowicza worek jud. I. [16]) Miaskowski I. str. 219. Kochanowsk. fraszka 92. Klonowicza worek jud. str. 94. [17]) Pieniążek ethica str. 13.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Teraz możemy podać opis pomnika, który ma być wystawiony w kościele inwalidów w Paryżu dla Napoleona. Składać się ma z czterech różnych części: 1) z podstawy wielkiéj, otoczonéj kolumnami i płaskorzeźbą, na któréj czterech rogach cztery osoby w wielkie płaszcze okryte nosić będą: pierwsza jabłko państwa, druga berło, trzecia rękę sprawiedliwości, czwarta koronę cesarską; 2) z drugiéj podstawy o dwie trzecie węższéj i o połowę niższéj, ozdobionéj płaskorzeźbą, a w czterech rogach czterema orłami, mającemi skrzydła rozłożone; 3) z piedestalu równie płaskorzeźbą przyozdobionego, wysokiego na ośm stopni, a w środku mającego napis: Napoleon; 4) nakoniec z kolosalnéj statuy Napoleona na koniu. Cesarz mieć będzie na sobie płaszcz cesarski, skronie bluszczem otoczone, w lewéj ręce cugle, w prawéj zaś berło cesarskie. — Ten cały pomnik grobowy wystawiony jest teraz w modelu, pierwsze dwie podstawy są z drzewa, statua z papy wyrobiona. Pierwsza podstawa 40 stóp wysoka, orły 6 stóp, statua konna 15 stóp. — Sam zaś pomnik zostanie z bronzu ulany. W pierwszéj podstawie znajdują się drzwi i w niéj też trumna z zwlokami Napoleona złożoną zostanie. Marochetti pracować będzie trzy lata nad tém dziełem.

Sławna statua Apollina belwederskiego została niedawno temu bardzo uszkodzoną. W muzeum florenckiém spadł ze ściany obraz Van Dyka, wystawiający »Karola V. na koniu«, i uderzył o tę wyborną statuę Apollina, która z swéj podstawy strącona, znacznie uszkodzoną została. Oba ramiona i lewa noga tego arcydzieła sztuki greckiéj roztrzasły się. Piersi i głowa także uszkodzone. Dano rozkaz do naprawienia, ale wątpią, czy się to uda. Obraz przytém nic nieucierpiał.

Francuzi w Londynie. Flora Tristan, znakomita autorka francuzka romansów, napisała artykuł o cudzoziemcach w Londynie, który wiele zawiera ciekawych szczegółów. Według jéj podania znajduje się w Londynie 15,000 Francuzów, i powiada, że lud wszystkich cudzoziemców w Londynie nazywa Francuzami, podobnie jak Turcy wszystkich Europejczyków Frankami. »Nic śmieszniejszego,« mówi ona, »nad te sposoby, jakich używają Francuzi, aby sobie wyrobić wstęp do angielskich towarzystw. Nie długo im potrzeba, aby się przekonali, ile tytuły popłacają nietylko u arystokracyi rodowéj i pieniężnéj, ale nawet w średnich klassach, dla tego dodają sobie bez ceremonii tytuły Baronów, Markizów, Hrabiów, Książąt, Pułkowników, Jenera-

łów i t. d., a dziurki od sukien ozdabiają krzyżem legii honorowéj. Chciwość tytułów tak jest w Londynie upowszechnioną, iż kobiety dwuznacznéj sławy używają ich za przynętę. Nazywają siebie Markizami, Hrabinami, pieczętują listy herbami, i t. d. Widziałam szczególniejszy zbiór Baronów, Hrabiów i Markizów w Londynie, którzy niepoliczonemi wymysłami zapewniają sobie utrzymanie życia. Głośno rozprawiają o przeszłych swoich wielkich czynach, biorą się do córek gospodarzy domów, śpiewają piosenki i starają się panów domu wciągać do rozmaitych przedsięwzięć. Wszyscy ci ludzie posiadają jakieś tajemnice bardzo ważne w zawodzie przemysłu. Jeden umie zamieniać liście jakiegokolwiek drzewa na tabakę, drugi piękny papier wyrabiać bez żadnych kosztów z nieznajomego pierwiastku, inny poleca wynalezioną przez siebie machinę olbrzymią do przecedzania, która cały Londyn zaopatrzyć jest w stanie w czystą wodę, inny jeszcze umie robić piwo wyborne bez słodu i chmielu. Drudzy ręczą za swe tajemnice robienia win bordegalskich i szampana po tak niskiéj cenie, że i najubożsi je pić mogą, inni palą wódkę prawie z niczego, przechodzącą sam cognac i t. d. Nie jednemu z tych tajemniczych Markizów, Hrabiów, przy prawdziwych lub zmyślonych tytułach, udało się dostać Angielkę za żonę z potężnym posagiem.«

MODY. — Paryż, dnia 1. Września 1840. — Ubiory na ranne wzięcie. Suknia z Rahel-kaszemiru w małe palmy na białém lub niebieskiém tle, rękawy u dołu wązkie, zapinane na pięć guzików, z ramienia ku łokciowi w bufki opadające. Chusteczka tulowa. Fartuszek z zielonéj mory z małemi kieszonkami, koronką oszytemi. Jedwabny sznurek w miejsce przepaski. Pończochy z szkockich nici. Trzewiki z angielskiéj skóry. Maleńki czepeczek à la paysanne.

Toaleta na wyjście. — Suknia z kitajki prążkowatéj, o dwóch falbanach i podobnéj szarfie, lub szlafroczek z angielskiego bazenu w małe kwiateczki, z przodu paryzkiemi koronkami oszyty. Mały kołnierz z koronek mechelnskich; włoski kapelusz słomkowy z piórem, słaniającém się z prawéj na lewą stronę. Haftowana chusteczka, szwedzkie rękawiczki, biały parasolik.

Wieczorna toaleta. Suknia z lilijowego bareżu, z przodu bruxelskie koronki i kokardki w kolorze sukni. Stanik i rękawy koronkami brukselskiemi oszyte. Strój głowy z kwiatów prawdziwych.

Rękawy. Rękawy u dołu obcisłe, u góry zaś wolne, takie, jakie przed dwunastu laty noszono i nazywano rękawami gigotowemi, wracają do mody. Są jednak teraz daleko zgrabniejsze, bo ich nieutrzymują spodnie rękawki mączkowane w kształcie bufek, tylko opadają na przód ramienia. Te rękawy są w ukos krajane, zebrane na ramieniu we fałdy.

Do sukien przejrzystych robią teraz powiększéj części rękawy buchaste lub otoczone koronkami, bo wązkie rękawy do muslinów bynajmniéj się niestósują.

Za strój włosów uchodzą kamee, sznury złożone z drogich kamieni, przepaski, a szczególniéj szpilki z główką złotą, z pereł lub koralów. Te szpilki są w rzeczy saméj wymysłem włoskim, i już były ozdobą głów dawnych Rzymianek i zawierały w sobie nieraz truciznę. Teraz niewinnym są strojem.

Dawniéj za ozdobę szyi noszono tylko naszyjniki; jakażto teraz różnica, od czarnego ulubionego sznureczka z złotemi serduszkami, aż do grubych złotych łańcuchów lub sznurów diamentowych.

Równa też była jednostajność we wzorach tkanin. Jeżeli wielkie wzory były w modzie, to je nosiła każda Dama, choćby i najmniejsza. Teraz znajdziemy we wszystkich sklepach tkaniny w najrozmaitszych wzorach, od starożytnego pekinu aż do najnowszéj mazagran-krepy.

W ubiorach mężkich żadna odznaczająca zmiana niezaszła.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz krepowy z dwubarwném piórem. Canezou muślinowe. Stanik ułożony w szerokie stopnie, długie rękawy ściągane, obcisłe, u góry dwie koronkowe falbanki. Suknia jedwabna.
2. Kapelusz słomkowy z białém piórem i szeroką wstążką. Szlafroczek z poult de soie, osadzony koronką. Obszerne rękawy. Około kibici sznury z kutasami. Szarfa jedwabna, u dołu kolorowo haftowana i osadzona długą fręzlą.
3. Kapelusz jedwabny z półzasłonką i piórem zdobny. Suknia jedwabna. Stanik gładki, w trzy rzędy guzików. Rękawy obcisłe.
4. Ubiór mężki. Surdut z tkaniny letniéj w paski, kołnierz wązki, jeden rząd guzików, jedna tylko napierśna kieszeń, na zaokrąglonych połach dwie kieszenie.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Brückner sc.

36.